

Jurij Janowski

# Cztery Szable



# CZTERY SZABLE

Jurij Janowski

**POWIEŚĆ**

**Przekład**

Anna Chraniuk

**Tytuł**

Cztery szable

**Autor**

Jurij Janowski

**Wydawnictwo**

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

**Przekład**

Anna Chraniuk

**Okładka**

Łukasz Kowalski

**Redakcja**

Anna Chraniuk

**Korekta**

Elżbieta Morawska

Copyright by Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki  
Copyright by Przemysław Lis-Markiewicz

ISBN: 978-83-969818-4-4

**Poznań 2023**

# CZTERY SZABLE

Jurij Janowski

*Wystrzelimy strzałę jako grzmot na niebie;  
Cwałem popędzimy konno jako deszcz drobniutki;  
A szable zabytną jako słońce w chmurach!*  
(Kolęda. „Pieśni Ludowe Południowo-Ruskie” Metlińskiego, str. 338)

# PIEŚŃ PIERWSZA

*Głos:*

Błogosław początek pracy szczerzej,  
Otwierającej drzwi do dali sinej.  
Gdy pióru niegodnemu zaufasz,  
Godne słowo na papierze przeczytasz.  
Mnóstwo pokus, radości jest w świecie,  
Krajów bogatych i zielonych wiecznie,  
W słońcu winogrono ciemne dojrzewa,  
Muzyką morze błękitne pobrzmiwa.  
Po morzach dziwne cudeńka chodzą  
Nas przyciągają, delikatnie kusząc.  
Nie cieszy nas buntowniczy sztandar,  
Bo nie naszej ojczyzny to sztandar!  
Młodość, jak świecidelka, przeminie,  
Lecz trud nasz odwieczny nigdy nie zginie,  
Gdy syn pokorny w ofierze składa  
Ojczyźnie swojej – wiano serca swego.  
Na wietrze zakotwiczone ręce,  
Na horyzoncie wciąż fatamorgana...

*Chór:*

Gdy stajemy ramię do ramienia,  
Świat przed nami wszystkie drzwi otwiera!

Zamarli, jakby polknęli silną truciznę, a ta odebrała im siły. Poruszył się kosmyk Hałata, zwisając nad okiem. Podziobana przez ospę twarz Marczenki była okropna od samego początku – twarz koloru suchego piolunu i wody morskiej. Ostiuk beztrudnie trzymał w dłoni słonecznik, a drugą rękę położył na ramieniu Szachaja. Ten ponuro pochylił się w krzesło, wyciągając do przodu splecione dłonie. Jakby siedział w siodle. Nowiutka kurtka wojskowa z wypłowiałymi miejscami po epoletach na ramionach, spodnie żołnierskie i nowe buty z cienkiej koziej skóry z ostrogami, bukiet sztucznych kwiatów ślubnych na piersi – tak wyglądał Szachaj.

Na skale siedziały orły, biorąc na siebie całą powagę zamarłych w bezruchu chwil. Ciszę tę, niczym jeszcze nieprzerwaną, za chwilę zakłóca głośny świst strzał, zgrzyt tarcz, rżenie koni; zadrży step, a drogi zatrzęsą się pod kopytami śmiałych jeźdźców. Czy znają swoją siłę i wolę, swą zręczność władania szablą, odwagę własnych serc i światło oczu? Nie znają ani siły, ani woli, ani odwagi serc, ani umiejętności władania szablą. Lecz co ich obchodzi takie drobiazgi, kiedy czują, że żyją! We czterech dowodzą całym Nowospaskiem. Latają jak ptaki; krążą nad swoimi domami rodzinnymi, coraz wyżej i wyżej, aż do błękitnej skały niebiańskiej, tam stają się ledwie zauważalnymi punkcikami – zanikający stukot może spaść z góry w każdej chwili. Oni żyją!

– Rusz się, cholerny pstryczku! – wycedził przez zęby wysoki Hałat. Ale sam się nie przesunął, tylko oparł rękę na boku i odstawił w bok lewą nogę. Najmłodszy z całej czwórki, był najbardziej niecierpliwy.

Marczenko ze złością przeniósł wzrok na Hałata i właśnie w tym samym momencie fotograf uruchomił migawkę. I to spojrzenie Marczenki zostało utrwalone na zdjęciu.

– Gotowe – powiedział fotograf, z wdziękiem kłaniając się czterem przyjaciółom.

Wyszli na wiejską ulicę. Długa biała pajęczyna plątała się w powietrzu. Poranek, cudowny poranek wesela Szachaja miał się ku końcowi. Hałat biegł pierwszy – długonogi, chudy, z czubem na głowie. Ostiuk, stąpając krzywymi nogami jeźdźca, zgarniał pod siebie całą ziemię. Machnął prawą ręką, a lewa cały czas zwisała nieruchomo, jakby Ostiuk zawsze przytrzymał ją szablę. Marczenko miał na sobie marynarską koszulę i kapelusz, a słynny klosz był zapchany w cholewy. Szachaj szedł, cicho stąpając po zakurzonej drodze.

– Zhobiliśmy zdjęcie – powiedział ponuro Marczenko, trochę rerając.

– Zdjęcie! – krzyknął silnym głosem Ostiuk, w jego naturze było wachmistrzowanie w szwadronie. – Jest rewolucja!

– Zapomnieliśmy zrobić zdjęcie z szablami. I z rewolwerami w rękach...

– Wychodzimy na drogę – niespodziewania zaczął Szachaj, przerwawszy Hałatowi.

– Pozwólcie mi się tylko ożenić. Tak jak razem jesteśmy na zdjęciu, tak też wszędzie nasze cztery głowy nie opuszczą zdjęcia. Oto idziemy razem kawalerowie, a dzisiaj ja się ożenię, wszyscy się ożeniemy, a daleka droga i groźne życie też nas ożenią.

Dotarli na targ. Jesień, najlepsza pora roku, pachniała ze wszystkich wozów. Pszenica, jeszcze niesprzedana, stała w workach, a słoneczny blask oblewał miedziane ziarno. Wozy pełne dyń, arbuzów i jabłek, sterty słoneczników, fortece z kapusty, buraków, kartofli, warkocze cebuli, a jeszcze jabłka, ogórki, bakłażany – wszystko, co urodziła w trudzie uprawiana ziemia.

– Dzięki rewolucji mamy asa w rękawie. Trzymamy go dopóki przyjdzie nasza kolej. Nie wiem, co będzie w miastach, bo zgubiłem drogę do tych, którzy tam kierują. Lecz tutaj, u nas, będziemy gotowi, żeby nie pozwolić nigdzie, nikomu i o niczym decydować za nas. Nasze słowo – w naszej gębie, a w rękach szable, karabiny maszynowe i trzycalówki, a także sam Bóg! Na tej bezgranicznej przestrzeni teraz wieje wiatr, nie ma żadnej władzy, a każdy targ jest prawdziwą rewolucją.

Szachaj ręką pokazał horyzont.

– Oto ci, którzy przyjechali na nasze wezwanie. Z dnia na dzień czekam na informację od telegrafisty ze stacji o eszelonie oficerskim jadącym z frontu, który warto by rozbroić.

– A może oni, wiesz, też potrzebują broni u siebie w domu? – powiedział Ostiuk.

– Gasić rewolucję? Pomyśl, oni nie mogą samodzielnie, oni jeżdżą eszelonami! Tylko ten, kto zwycięża, ma rację i jest sprawiedliwy. Nie musisz mówić o głupiej sprawiedliwości. Siła i chęć do życia – to jest najsprawiedliwsze prawo. Chwytaj za gardło, zabieraj broń, a dopiero później niech mówią, gdzie jest sprawiedliwość. Mało jeszcze dostałeś po mordzie w życiu?

Rozmawiając, doszli do wozów rozłokowanych obok targu. Dobre wojskowe furgonetki, konie w pogotowiu, plandeki na wierzchu, a pod nimi karabiny maszynowe na dwóch wozach. Gospodarze koni chodzili wokół poważni, luskali pestki słonecznika, a czekanie rozpieierało ich piersi.

– Witajcie – zaczął uprzejmie Szachaj.

– Witaj – odpowiedział mu gamoniowaty rudy Szworeń, dumny ze swojego karabinu maszynowego, który przywieźli razem z bratem Sańką z frontu.

– Milcz, głupku! – krzyknął na niego Sańka, szybko podbiegając do Szachaja. – Przyjechaliśmy – Sańka ściszył głos. – Przyjechaliśmy z całą bandą. My dwaj i aż czterech Wirywajłów. Petro Buboniw z karabinem maszynowym. Dwóch braci Wasylyszynów z chutoru, wuj Makar-pastuch. Oto jesteśmy.

– Wielka siła, a najważniejsze, że niezawodna – powiedział Szachaj, podając rękę każdemu z nich. – Zapraszam was dzisiaj na moje wesele.

– A karabiny?

– I karabiny. Hałat zaprowadzi was na moje podwórko, a ja pójde pogadać z ludźmi.

– A my? – zapytali Ostiuk i Marczenko.

– Przecież jesteście drużbami. Idźcie i przypilnujcie, żeby nikt cerkwi nie ukradł.

Szachaj wszedł między wozy, pytał o ceny, o urodzaj, żołnierzy, którzy wrócili z frontu. Chodził po targu, skakał przez kałuże jak przez szerokie rzeki; bakłażany przypominały mu krew, stojące przy straganach miotły z trzciny piękne bukiety, płachty na rękach flagi, a wiatr nad targiem brzmiał jak hałas i szum wojska. Pszczoła usiadła na ręce Szachaja, ale jej nie przegonił – czekał, aż sama odleci. Pachniało świeżą słomą i jesienią.

Ludzie przyszli do cerkwi jak na Wielkanoc. Tę cerkiew kiedyś zbudowali Kozacy zaporoscy – była ciasna i bardzo stara. Zapewne wszystkiego pilnowało czujne oko kozackie, bo dzisiaj nie znalazłby się nikt tak utalentowany, aby zbudować tak mocną cerkiew. Wszystko było w okuciach z żelaza. Nawet żyrandol na świecy, o pięknej nazwie: panikadyło, tak dużo ważył, że latem, podczas nabożeństw skrzypiały stropy, na których wisiał, deski pękały i zdawało się, że ta szczerza darowizna zaporoska wciągnie krzyż z kopuły do wnętrza cerkwi. Surowe zwyczaje Siczy Zaporoskiej znalazły swe odbicie w cerkwi. Ikony przedstawiały budowniczych i atamanów Siczy. Strach się było modlić w takiej cerkwi wśród wąsatych czarnych rycerzy, których głowy zdobiły kosmyki włosów zwanych śledziami, w strojach kozackich – rycerzy srogich, lecz odważnych. Spoglądali ze ścian, mrugając do siebie, często z pogardą wobec modlących się, czasami wybacząc im, niekiedy patrzyli z przyzwoleniem. Parafianie jednak już się przyzwyczaili do swoich ikon.

Och, po talarze się zrzucimy  
I konia dla atamana kupmy!

Hałas mruczał pod nosem, idąc dookoła cerkwi. Widać było, że brakuje świeczek. Wąsate ikony gniewnie spoglądały ze ścian: potrzebują więcej światła. A przecież cerkiew już dawno nie była tak oświetlona. Może wtedy, gdy zaporozcy, wracając z pochodów morskich, kładli w cerkwi całe wozy świec przed świętymi koszowymi i palili dla nich całe czapy oczyszczającego kadzidla ze Smyrny.

Zrzucimy się też po drugim  
I konia z uprzężą kupmy!

Hałas, niezadowolony, przesunął świecznik z setką świec od świętej Barbary w stronę Pokrowy Bogurodzicy, gdzie w tłumie stało wielu wąsatych kozaków z buławami i piernaczami. Takie uregulowanie szacunku do męczyzny nadal nie zadowalało Halata. Ostrogi przy butach pobrzękiwały wzdłuż i wszerz zakamarków i przedsionka. Nie przystanął dopóki nie znalazł w jakimś schowku jeszcze pęku świec. Dzwonnik z oddali śledził go wzrokiem. Nie ma żartów, gdy wesele wyprawia sam Szachaj!



Karego konia kupimy  
I w czyste pole skoczemy!

Świece porozstawiano. Cerkiew napelniła się żółtym żarem. Leżał kupkami na świecznikach, przed ikonami, poruszał się, kołysał, jakby żył życiem wielowymiarowym pośród białego dnia, pod promieniami i smugami światła wpadającego z okna.

Pojedziemy w czyste pole  
W pole czyste, w dąbrowę!

Hałat przystanął, z zadowoleniem patrzył na swoją pracę. Nie zauważył nikogo, kto przyszedłby do cerkwi tylko ze względu na niego. Ludzie stali ożywieni, nie byli pogrążeni w modlitwie, podczas ślubu cerkiew staje się wesolą świątynią dawnego boga pogańskiego. To – Dażbóg, bóg-słońce, bóg-czas, bóg zrozumiały, zwyczajny i hulaszczy. Drogę Hałatowi zastąpiła dziewczyna. Zawstydzona, piękna i delikatna spojrzała w jego ciemne oczy, jak w studnię z orzeźwiająca zimną wodą. „Chomo, wyjdiesz na dwór? Tak stęskniłam się za tobą!” – „Że też do cerkwi cię zanosło, Baško” – zaburczał Hałat. Wziął dziewczynę za rękaw i zaprowadził na kliros. Tam stał już chór.

Zabrzmiały dzwony. Miedziany dźwięk wdzierał się do cerkwi przez drzwi. Wszedł Szachaj. Jego narzeczona jeszcze nie przyjechała, pojechali po nią drużbowie – Marczenko i Ostiuk. Szachaj żył nadzieją. Szerokie stopy rozciągały się przed nim i jego wioską. Ogromny chaos, który zapanował na ziemi, był jak sztorm na morzu, który porozbijal lodzie. Musi trzymać się wyspy, póki sztorm straci na sile i chaos stanie się pasywny. Wtedy ruiny trzeba będzie bronić szablą. Odrąbać ręce wszystkim, którzy tylko spróbują zniewolić wolny naród, zechcą kroić jego ziemię jak chleb i jeść, dławiąc się chciwością, dławiąc ze strachu, że ktoś silniejszy zabierze kawałek. Szachaj myślał o panowaniu caratu i historii narodu – zawsze wielkodusznego, sławnego i bohaterskiego; o karawanie biednych Kozaków, którzy byli uczciwymi, odważnymi nicponiami, rozbójnikami morskimi. I wszyscy dumnie kroczyli po wielkiej ziemi, rycerze swego nieszczęsnego honoru, męczennicy. Maksym Żeleźniak, Semen Nieżywy, Jakiw Szwaczka, Iwan Bondarenko – sławni powstańcy, czyste serca lat siedemdziesiątych XVIII wieku, mścili się za krzywdy wyrządzone biedocie! Kroczyli przed Szachajem jak okrutna pamięć, jak ostrzeżenie, jak przypomnienie pańskich podstępów, carskich okrucieństw, znieważanie chleba i soli na stole przyjaciół, wszyscy szli przed Szachajem z rozerwanymi nozdrzami, z piętnem na czole, niosąc w dłoniach swoje głowy wypchane plewami z gryki, unosząc swoje nogi, położywszy na ramionach odrąbane dłonie. Petro Kalnysz, ostatni koszozy Siczy, przebiegał różaniec w samotnej

celi klasztoru Soloweckiego: dwadzieścia siedem lat śpiewał dumy stepowe, patrzył na swój kraj aż znad Morza Białego, płakał, nie widząc, nawet mgliście, przyszłych dni, cieszył się słońcem przedzierającym przez mgły Północy. Szachaj przyrzeka sobie, obchodząc cerkiew i przystając przed świętym kozactwem na ścianach, że nie wpuści żalu do serca. Przyrzeka, że nie uwierzy nikomu, kto leżeć będzie pod jego szabłą albo będzie siedzieć przy jego stole. Przyrzeka i całuje w ramię siwowąsęgo dowódcę kurenia. Nadzieja otula go jak fatamorgana, jak trujące kadzidło wielkich wydarzeń. „Rewolucja to wielkie słowo” – myśli Szachaj i czuje, jak po jego plecach chodzą mrówki. „Wszyscy żyją szczęśliwie, nie ma cara, rządzi naród, rzeki miodem płyną, sama radość i szczęście!”

Do cerkwi podjechał powóz z panną młodą. Wszyscy ludzie w cerkwi od razu się poruszyli. Szachaj zostawił swoje myśli i pospiesznie skierował do wyjścia. Tam przywitał pannę młodą i wraz z nią wszedł znowu do środka. Chór zaśpiewał „Chwała!”. Głos Hałata dolatywał daleko poza kliros. W każdym zakątku od śpiewu Hałata dźwięczały szyby. Ksiądz wyszedł zza ołtarza i zaczął udzielać ślubu. Marczenko i Ostiuk zalotnie patrzyli na swoje druhny.

Wesele odbywało się zgodnie ze starą tradycją.

Druhny jechały konno drogą, na rękawach powiewały białe chustki. Wzdłuż drogi szybko ustawiano przegrody, które miały zmusić młodą parę do zatrzymania się i wykupu. W domach panny młodej i pana młodego robiono ostatnie szlify na stołach i sprawdzano, czy wszystko jest tak, jak być powinno. Baba-starościna, nie złącząc z pieca, kierowała całym weselem. Niestety była chora – poszła do panny młodej, aby tradycyjnie rozplęść warkocz i śpiewać smutne, niezwykle dźwięczne i żalosne pieśni, gardło baby chrypiało, lata spoczywały na jej wysuszonych plecach jak ciepły filc, a jesienna noc była chłodna. Wystrzałów było tyle, ile być powinno; wiano przewieziono do pana młodego, a powóz z Szachajem i jego małżonką podjechał na podwórze teścia.

Ileż to pieśni teraz zagubiono – starych i wesółych! Ileż melodii skradła obca harmonia – zachrypla histeryczka, wydająca przytłumione nuty, pieśni bezładne i niepoważne, z pomniejszoną głębią artystyczną melodii, harmonia – demagog, przekupka wielogłosowa! A oto śpiewają skrzypce lub prowadzi biesiadę kobza: jedna, ledwie słyszalna nuta rozciąga się w powietrzu, a jej drganie jest jak drganie powietrza. Struna wydaje nieskazitelnie czysty dźwięk. Stulecia się poddają drganiom, wąskie koło czasu rozszerza się na całe życie całego narodu. Równa, przejrzysta, genialnie prosta nuta łączy wieki. Ludzie zamierają, ich ramiona drżą od ujawnionej tajemnicy, szczęśliwa lza kołysze się na rzęsach. A skrzypce grają dalej. Nutą się mieni, przelatują drobne pluski dźwięku, jakby w skrzypcach obudził się śmiech. Oblicza promienieją. Rozczulona dusza łapczywie chłonie radosne dźwięki. Nogi same wystukują rytm. Już nie można ich powstrzymać, gdy grają najwspanialsze skrzypieczki. Starzy i młodzi

ruszają w tan. Tętni całe podwórko. Bębenek uderza i wystukuje jak wesoly młodzieniaszek. Poprzeplatały się pary: na radość i na śmiech. Lecz skrzypczki już się zmęczyły. Dziesiątki rąk częstują skrzypka, każdy chce z nim wypić, ucałować się, skrzypek każdego chce wyróżnić muzyką, tak powstaje hałas i szum.

Między trzema drogami,  
– zaczynają lekko, powoli głosy dziewcząt.  
Rano, ra-no!  
– pomagają chłopcy.  
Między trzema drogami ra-niu-sieńko!

Dziewczyny stoją razem w grupie, w objęciach. Chłopcy stają wokół nich. Radosna pieśń rozlega się po podwórku.

Tam się spotkał kniaź z Dażbogiem, rano-raniutko,  
Tam się spotkał kniaź z Dażbogiem, raniusieńko.

Słońce chyli się ku zachodowi. Dziwi się, jak może się spotkać z kniazem, a do tego młodym. Słońce płomienieje.

Oj, ty Boże, ty Dażboże, rano, raa-no,  
Zejdź z mej dróżki, raniusieńko.  
Tyś jest Bogiem roczek cały, rano, raa-no,  
A ja z kniazem tylko teraz, raniusieńko!

Chłopcy mrugali do dziewcząt. Skrzypczki odpoczęły i znowu zapraszają do tańca. Na ziemię osiada wieczór. Cisza wieczorna okala ziemię. Tylko na podwórku teścia Szachaja dudni bęben.

Pijana baba-starościna śpiewa na piecu. Za stołem rozbrzmiewają rozmowy, ślepy muzyk wypija kieliszek, aby oczyścić głos, bierze swoją kobzę, stroi struny. Poważni goście siedzą przy stole. Zarumieniona narzeczona wstydliwie patrzy na gości. Hałas podtrzymuje głowę rękoma, żeby nie opadła na stół.

A w sadzie gołębie gruchają,  
A w sadzie gołębie gruchają,  
Do świetlicy głosy docierają...

Baba śpiewa starym wrzaskliwym głosem. Wspomina młodość. Jawi jej się wizja dawnych lat, młodzieńczych marzeń.

Poradź mi, matulu najmilsza,  
Poradź mi, matulu najdroższa,  
Kogo wybrać mam na bojarów?

– Ciekawe, a kogóż brać na bojarów? – odezwał się Szachaj. – Pewnie bogatych i silnych. A może kozaków z Siczy?

Wszyscy się roześmiali.

Zbierz, synu, rodzinę całą,  
I tę bliską, i daleką,  
I tę bliską, i daleką,  
I tę biedną i bogatą.

Nikt nie mógł się powstrzymać, aby się nie roześmiać na całą chatę. Babę poczęstowano kieliszkiem. Ta wzięła kieliszek do ręki i dośpiewywała pieśń. Skąd u niej taki głos? Ostatnie słowa, jak drogocenne jadlo i trunki, baba po prostu kładła na stół, czym jeszcze długo cieszyło się zachwycone towarzystwo.

Bogata – przyniesie prezenty,  
Biedna – upilnuje porządku.  
Bogata – będzie dużo piła,  
A biedna – będzie się smuciła.

Śpiewająca baba wychyliła kieliszek, jakby była dobrą panną młodą, rzuciła szkło na podłogę i zuchwale krzyknęła: „Gorzko!”.

Wśród ogólnej ciszy, która nastąpiła po pocałunku Szachaja, leciutko się odezwały struny kobzy, zaszumiały, zadźwięczały jak wiosenne trzmielce, jak żółte pracowite pszczołki. Palce delikatnie dotykały strun, kobza zabrzmiała, jakby na coś czekała.

– O czym nam zaśpiewasz? – zapytał pan młody. – O honorze czy odwadze, obowiązku człowieka czy chwale rycerskiej?

– Wśród ludzi mało jest teraz tych z honorem – niespodziewanym basem odpowiedział kobziarz, kierując do zebranych głowę z białymi, niewidzącymi oczyma. Była to zamknięta w sobie istota: za płamkami oczu płonął mózg, który nie miał nadziei wyjść na światło.

– Mało honoru – rzekł ślepiec. – Brakuje też odwagi. Chodzę po świecie, doszedłem aż do morza; teraz naród to złodziej. Ileż to razy okradli mnie, bili i wyśmiewali się z moich pieśni. Pieśni z dziada pradziada pamiętam, ale sam jeszcze nie ułożyłem żadnej. Po ziemi chodzą różne słuchy, ja się przysłuchuję wszystkiemu,

co krąży po drodze, wszystkim pieśniom, wszystkim rozmowom. I niczego jeszcze, ludzie, nie usłyszałem. Ślepcowi jest ciężko, ale widzącemu jeszcze ciężiej.

– Słuchaj, dziadku – w głosie Szachaja wyczuwało się wolność, – oto moja głowa, dziadku! Przysięgam na swój ród uczciwy, przysięgam na pamięć swego dziadka – chłopca pańszczyźnianego, pradziadka – Kozaka zaporoskiego, nie zginęły jeszcze honor i odwaga. Miłość i nienawiść, przyjaźń i poświęcenie znowu się budzą z zapomnienia. Nie prześpiemy rewolucji. Przecież wolność powiewa nad ziemią!

Ostiuk, Hałat i Marczenko jak na zawołanie podnieśli kieliszki i wypili do dna. Na policzkach czuli już wiatr z drogi. Zwyczajne słowa, być może nie do końca zrozumiałe, wzbudzały w ich sercach dumę. I pewnie dlatego wierzyli w gwiazdy i wspańskie idee, w czystość i siłę duszy ludzkiej. Tacy ludzie krążą po stronicach historii, jak po swoim obejściu, dlatego dziwne się wydaje, czemu po nich pozostają zburzone miasta, krew, pustka i śmierdzące trupy. Czyżby poszukiwanie tego, co ludzkie, sprawiedliwe i dostojne zawsze przynosiło takie efekty?

A tymczasem Szachaj częstował gości: braci Szworniów – mądrego Sańkę i głupkowatego Myckę; Makara – byłego pasterza, rudego olbrzyma z okropnymi wąsami, kudłatą ognistą głową i dziecięcymi błękitnymi oczyma; Petra Bubona – najlepszego na świecie kanoniera, który mógłby, nawet z odległości trzech kilometrów, okopać dookoła swoje pole pociskami, tworząc miedzę; braci Wasylyszynów – niedoścignionych zwiadowców, telegrafistów, a w wolnych chwilach – muzyków; Wyrzywajłów – czterech sokolów, którzy później zginęli jeden po drugim, wyrzynając szlachtę, rozstrzeliwując kadetów czy też dobijając generalów; Iwana Wyrzywajłę – niezrównanego surmacza z niesamowitymi płucami, który mógłby przekrzyknąć wszystkie żywioły, wskrzesić martwych i wypełnić pole boju alarmującym, przerażającym, zwycięskim sygnałem; Petra Wyrzywajłę – komendanta brygady konnej, przyszłego bohatera operacji pod Uspeniwką, któremu Marczenko urządził stypę, nakazując zarzącać nad jego ciałem setkę wziętych do niewoli; Semena Wyrzywajłę – pierwszego złodziejaska w wojsku, który okradał wszystkie pulki konne i codziennie miał nowego konia, a jego szwadron – nawet ptasie mleczko; Semena zarabiał trzeci szwadron, otoczywszy go w polu studwudziesiątoma główniami, wysłuchawszy przekleństw i kpin, pozwoleńszy mu pożegnać się z białym światem; Pańka Wyrzywajłę – dumę pulków piechoty i kawalerii, strzelców maszynowych i artylerzystów, Pańka, który pisał ostre jak brzytwa piosenki, a śpiewał tak, że jeźdźcy ze śmiechu spadali z koni, nauczył też przekleństw cały swój pułk, a później dowodził tym pułkiem.

Wszyscy już się najedli. Zapach potraw rozniósł się nad stołem. Do wódki podano zielone i fioletowe bakłażany, ogórki i kapustę, zieloną oliwę z drobno posiekaną i posoloną cebulką. Nad gotowaną rybą unosiły się pachnące opary.

Teraz najważniejszą sprawą był wybór ludzi. Dobrze o tym wiedział Szachaj, patrząc pytająco na gości. Byli potrzebni tacy, którzy całkowicie podporządkują się woli przywódcy i dowódcy. Napoleon i Piotr Pierwszy dali przykład, jak wybierać ludzi. Okrutny Davout, strateg Oudino, Ney, błyskotliwy Murat, intrygant Mieński i setki nieznanych – wszyscy zmarliby jako oficerowie, synowie rzeźbiarzy, sekretarze notariuszy, karczmarze, cukiernicy. Oni wszyscy znaleźli się na odpowiednim miejscu dzięki genialnym przewidywaniom wielkich ludzi, którzy potrafili okazać rozsądek państwowy.

– Niech zaśpiewa dumę o Kozaku-Suprunie – powiedział Pańko Wyrwajło. – To taka smutna pieśń!

Milczenie ogółu było potwierdzeniem, że wszyscy się zgadzają. Panna młoda wstała zza stołu i usiadła obok ślepcy, w milczeniu dotknęła drewnianego korpusu kobzy. Jej oczy, wilgotne i urzekające, były trochę smutne, jak zwykle smutne są oczy wszystkich ludzi stepu, ptactwa stepowego, wszystkich dziewcząt wielkiego stepu. W chacie zabrzmiał akord. Wraz z nim z podwórza weszła dziewczyna i usiadła obok Halata. Na podwórku tańczono.

Nie wiedział kozak – głos kobziarza brzmiał niezdecydowanie, słabo, niepewnie – tak, jak kozak nie wiedział,

Nie wiedział Suprun,  
Jak ma zdobyć sławę dobrą,  
Hej, zebrał sławne wojsko zaporoskie  
Razem poszli walczyć z hordą.

Struny rozbrzmiały całym potokiem dźwięków. Ich fale niosły wspomnienia. Dźwięki docierały do brzegu i chowały się, jak fale w piasku. Wśród ciszy rodził się szelest stepu, tętent kopyt kilkutyśięcznego oddziału Supruna. Kobziarz dotyka strun coraz delikatniej, coraz lżejsze dźwięki wylatują spod jego palców. Dźwięków ubywa, drga tylko jedna struna i długo w zakamarkach chaty nateżone ucho słyszy jej odbicie i echo.

Oto, w niedzielę rano-raniusieńko  
Kozak Suprun z hordą się starł,  
A w poniedziałek, w porze obiadowej  
Do niewoli trafił już sam.

Panna młoda wzdycha. Głos kobziarza zrobił się tragiczny, jakby opowiadał o swoim rodzonym synu. „Dzisiaj jest niedziela – pomyślał Szachaj – a jutro